

Lubomir Zyblikiewicz

STOSUNKI TRANSATLANTYCKIE NA POCZĄTKU XXI W.

Niepokoje o stan i przyszłość stosunków transatlantyckich nie są czymś zupełnie nowym. Ostatnia ich fala wezbrała niewiele ponad dziesięć lat temu. Wydaje się jednak, iż tym razem mają one jakościowo odmienną podstawę. Pełniejsze zrozumienie jest niezbędne choćby dlatego, iż stanowią one, choć z mniejszą i malejącą siłą, podstawowy element światowego ładu politycznego, militarne go i gospodarczego.

Stosunki transatlantyckie są skrótem myślowym tak powszechnie używanym, iż niedostrzegany. W rzeczywistości, od późnych lat czterdziestych XX w., mówiąc o stosunkach transatlantyckich, myśleliśmy o stosunkach między Ameryką Północną, czy raczej jej anglosaską (z domieszką francuskiej) częścią, czyli Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, a Europą Zachodnią. Nieco wcześniej, przypisywane Walterowi Lippmannowi, jest pojęcie Wspólnoty Atlantyckiej. Wprowadzając je podczas II wojny światowej, podobnie jak i myśleli czołowi ówcześni geopolitycy, by wymienić tylko Mackindera czy Spykmana, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do granic na wschodzie „atlantyckiej” Europy. Lippmann, zwolennik powojennej współpracy amerykańsko-brytyjsko-radzieckiej, przeciwko pokonanym, lecz groźnym, Niemcom, kreślił obraz „wspólnoty atlantyckiej” oraz „orbity radzieckiej”, czyli sfery wpływów Związku Radzieckiego, jako podstawowych elementów ładu europejskiego i światowego. Stawiając kropkę nad „i”, nie stwierdziły, że nie należały do „wspólnoty atlantyckiej” ani Niemcy, ani też kraje Europy Środkowej, nie mówiąc już o Europie Wschodniej.

W praktyce politycznej stworzenie sieci trwałych powiązań między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią wymagało jeszcze silnych bodźców oraz przewyciężenia przez Stany Zjednoczone ważnych zasad tradycyjnej poli-

tyki zagranicznej. Łatwiej i wcześniej powiodło się to w dziedzinie gospodarczej, lecz i w niej trzeba było dopiero wiosną 1947 r. uświadomienia sobie przez George'a Marshalla palącego charakteru kryzysu społeczno-gospodarczego w Europie Zachodniej i jego politycznych skutków, by zaproponować wielkie, kosztujące ponad dziesięć miliardów ówczesnych dolarów, wielostronne przedsięwzięcie, znane jako Plan Marshalla. Co ważne, doszło do trwałej instytucjonalizacji współpracy, dzięki utworzeniu Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej, która później, w 1961 r., zostanie przekształcona w Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.

Dużo trudniej było w dziedzinie militarnej. Potężna tradycja mocarstwa Nowego Świata od niemal samego zarania dopuszczała jedynie doraźne, na czas trwania konkretnego konfliktu zbrojnego, sojusze. Długo wysiłki Wielkiej Brytanii, obciążonej już zobowiązaniami, najpierw sojuszu z Francją (Dunkierka 1947), a potem dodatkowo z państwami Beneluksu (Bruksela marzec 1948) spotykały się z nieprzychylnym odzewem w Waszyngtonie. O zmianie świadczyła dopiero Rezolucja Vandenberg'a z czerwca 1948 r., choć i w jej tekście jeszcze ciągle mówiło się jedynie o „stowarzyszeniu”, a nie o związku sojuszniczym. Bodaj dwa bodźce przeważyły: „wydarzenia lutowe” w Czechosłowacji oraz narzucony w kwietniu 1948 r. przez Związek Radziecki traktat Finlandii; mogło się wydawać, iż Związek Radziecki przekracza granice, w części formalnego, w części zaś domniemanego, porozumienia.

Niezależnie od tekstu Rezolucji, ostatecznie, po stosunkowo krótkich rokowaniach, 4 kwietnia 1949 r. w Waszyngtonie podpisano traktat, ustanawiający Sojusz Północnoatlantycki. Utworzyły go Stany Zjednoczone, Kanada, pięć państw – sygnatariuszy z Brukseli oraz, dołączone niemal w ostatniej chwili, z pobudek pragmatycznych, Dania, Norwegia i Islandia oraz Włochy i Portugalia. Wspólnota Atlantycka, wyraźnie rysująca się na mapie świata, stała się faktem, opartym o porozumienie prawnomiędzynarodowe.

Nie należy zapominać, iż to zbliżenie transatlantyckie stanowiło jednocześnie zasadniczy element przebudowy ładu światowego. Początkowo, podkreślmy, zgodnie z dwiema koncepcjami, stopniowo wycofywanymi z dyskursu: „jednego świata” i „czterech policjantów”. Zarówno Organizacja Narodów Zjednoczonych, dużo ambitniej pomyślana niż pozwoliła praktyka, jak i dwie z trzech najważniejszych organizacji gospodarczych powojennego świata, czyli Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, zapoczątkowane zostały jako przedsięwzięcie wspólne ze Związkiem Radzieckim.

Organ kluczowy w Organizacji Narodów Zjednoczonych, to pierwotnie „czterej policjanci”, Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Wielka Brytania i Chiny, do których udało się premierowi Wielkiej Brytanii, Churchillowi, w ostatniej chwili, w Jałcie (luty 1945) dołączyć Francję. I mimo wielu prób zmian, obecna „wielka piątka”, dysponująca prawem weta, to po prostu mocarstwa zwycięskiej koalicji z II wojny światowej, a równocześnie aż trzy z nich to najważniejsi uczestnicy „wspólnoty atlantyckiej”. Warto też zwrócić uwagę, iż

w początkowym, dłużej lub krócej trwającym, okresie, wspomniane organizacje, w myśli i w praktyce, będąc uniwersalnymi, przede wszystkim służyć miały krajom „wspólnoty atlantyckiej” i ich współpracy. MFW oznaczał wyciągnięcie „lekcji” z bolesnych doświadczeń lat trzydziestych, niszczącej konkurencji z pomocą dewaluacji, był też wyrazem niewiary w zdolność rynków do zapewnienia niezbędnej podstawy dla gospodarki światowej. Państwa, a zwłaszcza mocarstwa, odpowiadają za właściwe funkcjonowanie światowego systemu walutowego. Przez niemal ćwierćwiecze główny ciężar niosły i niemal wszystkie korzyści z działalności Funduszu państwa członkowskie ze „wspólnoty atlantyckiej”. W przypadku Banku, choć dużo krócej, skupienie działalności na obszarze Europy Zachodniej jest jeszcze wyraźniej zarysowane; to rozwinięte i uprzemysłowione gospodarki krajów Europy zachodniej zostały zniszczone podczas II wojny światowej i to je właśnie trzeba było odbudować. Odbudowano je względnie szybko, i po kilku dziesięcioleciach Bank Światowy jest już wyłącznie kojarzony z pomocą dla krajów Trzeciego, a od lat dziewięćdziesiątych także i Drugiego Świata.

Trzecia organizacja, powstała w 1948 r., zamiast planowanej Międzynarodowej Organizacji Handlu, jako tymczasowe (*sic!*) Porozumienie Ogólne w sprawach Taryf Celnych i Handlu przez kilka dziesięcioleci pozostawało „klubem bogatych”, państw wysoko rozwiniętych. Rezultaty kolejnych rund negocjacyjnych GATT były określane przede wszystkim między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią.

Przez kolejne dziesięciolecia ład światowy, a zwłaszcza w dziedzinach gospodarczej i finansowej, w rzeczywistości oznaczał zinstytucjonalizowany przez i na korzyść państw Pierwszego Świata, Zachodu. Nie można, naturalnie, zwłaszcza od przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stawiać znaku równości między „wspólnotą atlantycką” a Zachodem. Ta pierwsza zresztą przesunęła swoje granice tymczasem na wschód; najpierw, obejmując Grecję i Turcję, a w połowie lat pięćdziesiątych, przewyciężając pierwotną logikę działania, otwierając się na Niemcy. Co najmniej równie ważne było wcielenie do Zachodu rozkwitającej gospodarki Japonii.

Powstanie i rozwój „wspólnoty atlantyckiej” opierało się o silne przesłanki obiektywne. Strumienie towarów i kapitałów, choć w skali – ze współczesnego punktu widzenia – skromnej, w sposób bezsporny wyodrębniło grupę krajów ją tworzących. Nadal można też było traktować Stany Zjednoczone jako kraj imigrantów, przybyszy z Europy. Skutki polityczne tego ostatniego zjawiska wcale nie były jednoznaczne, przekroczenie Atlantyku było, mniej lub bardziej świadomym zrywaniem ze „starym światem”, lecz Europa długo jeszcze nie była ani obca ani obojętna. Dochodził jeszcze mocny czynnik subiektywny; polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych przez bardzo długi okres czasu po II wojnie światowej pozostawać będzie w ręku „establishmentu Wschodniego Wybrzeża”. Będzie ona bardzo mocno skupiona na sprawach Europy, ze szkodą, zdaniem gwałtownie atakujących ją krytyków, dla ważnych interesów amerykańskich w innych częściach świata.

W stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a państwami Europy Zachodniej pojawiały się różne fale, emocje, zaburzenia. Poważnym zafałszowaniem przeszłości byłoby malowanie jakiegoś ich „złotego wieku”. Co najmniej kilkakrotnie doszło do poważnych kryzysów, i wcale wyłączności na podejrzliwość wobec Stanów Zjednoczonych w Europie Zachodniej nie posiadała Francja. Trudno też odmówić racji tym komentatorom, którzy wskazywali na brak racjonalności i spójności w ocenach i oczekiwaniach, jakie niejednokrotnie powstawały po każdej ze stron Północnego Atlantyku pod adresem drugiej strony.

Jeśli często te napięcia we wzajemnych stosunkach wywoływały zmiany w polityce czy to Stanów Zjednoczonych czy państw Europy Zachodniej wobec Związku Radzieckiego, to gwałtowny wręcz wybuch dramatycznych wypowiedzi nastąpił wówczas, gdy mocarstwo to w ogóle przestało istnieć. Wyjaśnienie narzuca się samo przez się. Jakie by nie były wcześniej różnice zdań, to jednak mniej lub bardziej odczuwane zagrożenie zewnętrzne czyniło nakazem zachowanie jedności i przejście do porządku dziennego ponad różnicami. Jakie by nie dokonały się w ciągu kilku minionych dziesięcioleci zmiany w polityce, zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i mocarstw zachodnioeuropejskich, to tak długo, jak istniał Związek Radziecki, to właśnie on stanowił zawsze początek geopolitycznego *tour d'horizon* dla każdego z nich przed podjęciem jakiegokolwiek ważnej decyzji.

Wraz ze zmianami w światowym układzie sił oraz w polityce wewnętrznej zachodziły przesunięcia, lecz pozostawało ciągle pole wspólne. W polityce światowej mogło pojawiać się więcej biegunów, lecz najważniejszymi, od 1949 r. do 1991 r., pozostawały dwa: w Waszyngtonie i w Moskwie. Powstało po wojnie wiele sojuszy wielostronnych, lecz przetrwał, zachowując swe znaczenie, jedynie Sojusz Północnoatlantyczny.

Tym razem, gdy skończył się świat dwubiegunowy, gdy zniknęła podstawowa racja bytu dla NATO, dla strategicznej więzi transatlantyckiej, pojawiły się liczne teksty z zasadniczymi pytaniami. Brak miejsca, a także i możliwość odesłania Czytelnika do mego tekstu¹, zwalnia z omówienia ówczesnej debaty.

Jak powszechnie wiadomo, stosunki transatlantyckie w latach dziewięćdziesiątych rozwinęły się dużo pomyślniej niż można było wówczas oczekiwać. Prezydent kolejny Stanów Zjednoczonych, Bill Clinton, wbrew swym własnym zapowiedziom, iż skupi się na polityce wewnętrznej, dla ratowania gospodarki, względnie szybko stał się jednym z najbardziej aktywnych w polityce zagranicznej prezydentów amerykańskich.

Co więcej, bardzo duża część tej aktywności mieściła się w stosunkach transatlantyckich, w polityce wobec państw europejskich. Bodaj jest Clinton jedynym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który uczestniczył w trzech szczytach Sojuszu Północnoatlantyckiego, w Brukseli w styczniu 1994 r., w Madrycie w lipcu 1997 r. i w Waszyngtonie w kwietniu 1999 r. Wzajemnym stosunkom z najważniejszymi państwami Europy Zachodniej w pewnej mierze sprzyjał

¹ Ewolucja doktryny Paktu Północnoatlantyckiego w latach dziewięćdziesiątych w: *Nowy kształt bezpieczeństwa europejskiego*, "Studia i Analizy" 1996, nr 2.

zwrot w lewo w polityce wewnętrznej większości z nich, stwarzając – jak się okazało z czasem – złudne nadzieje na wspólne poszukiwanie „trzeciej drogi”. Jeśli nie powiodła się ta próba pogodzenia dynamizmu i elastyczności kapitalizmu amerykańskiego ze skłonnością do ochrony społecznej ze strony europejskiej socjaldemokracji, to stosunki były przesiąknięte empatią, jeśli nie sympatią wzajemną przywódców i ośrodków opiniotwórczych po obu stronach Północnego Atlantyku.

W wielkim stopniu zmaterializowały się też nowe możliwości intensyfikacji wzajemnych kontaktów gospodarczych i finansowych w ramach „globalizacji”, w dużej mierze realizowane na obszarze północnoatlantyckim. Jakiś, choć nie przesadny, wpływ na ten proces „globalizacji” na tym obszarze miał zinstytucjonalizowany dialog między Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską.

Wstępem do zdynamiczowania procesu „globalizacji” stało się powodzenie nieortodoksyjnej polityki gospodarczej, zrywającej zdecydowanie z tradycyjnymi priorytetami gospodarczymi obu partii politycznych w Stanach Zjednoczonych. Osiągnięcie równowagi budżetu federalnego, a z czasem nawet nadwyżki wpływów nad wydatkami, stworzyło FED szanse bardzo aktywnej polityki pieniężnej. Efektem był nie tylko najdłuższy okres bardzo szybkiego wzrostu gospodarczego Stanów Zjednoczonych, lecz również wyjątkowo szybki wzrost liczby nowych miejsc pracy, co złagodziło skutki szerokiego otwierania się gospodarki amerykańskiej na napływ towarów i usług (czyli odpływ miejsc pracy) oraz kapitału z zagranicy.

W latach 1990-2000 wartość rynkowa aktywów zagranicznych w Stanach Zjednoczonych zwiększyła się z 2,5 bln USD do 9,4 bln USD, podczas gdy wartość rynkowa aktywów amerykańskich za granicą z 2,3 bln USD do 7,2 bln USD. W rezultacie ujemne saldo międzynarodowej pozycji inwestycyjnej Stanów Zjednoczonych wzrosło ze 164 mld USD do 2 bln 187 mld USD, czyli ponad trzynastokrotnie, co uczyniło je najbardziej zadłużonym krajem świata. Oczywiście mowa jest o wielkościach bezwzględnych, choć i wskaźniki względne stają się w oczach wielu badaczy coraz to bardziej niepokojące.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak to, iż wartość rynkowa zagranicznych inwestycji zagranicznych w Stanach Zjednoczonych wzrosła w tych latach ponad pięciokrotnie, do ponad 2,7 bln USD. Jeśli jeszcze uwzględnić wzrost ponad sześciokrotny inwestycji pośrednich w korporacje amerykańskie, do prawie 3 bln USD i przytłaczającą rolę (dwie trzecie zasobów FDI w 2000 r.) inwestorów europejskich w tych procesach², to nieodległe od prawdy będzie twierdzenie, iż bardzo istotny był europejski wkład, w postaci kilku bilionów dolarów, w amerykański cud gospodarczy lat dziewięćdziesiątych.

Choć dalekie od rozstrzygnięcia są spory o długofalowe skutki, to bilans w średnim horyzoncie czasowym wydaje się zdecydowanie korzystny, zwłaszcza dla stosunków transatlantyckich.

² “US Statistical Abstracts 2003”, no. 1265 i no. 1267.

W handlu światowym, który przeżywał w latach dziewięćdziesiątych wyjątkowo szybki rozwój, swe wyjątkowe pozycje utrzymywały Stany Zjednoczone i Unia Europejska. Głównie dzięki ich współpracy udało się doprowadzić do pomyślnego zakończenia ostatnią rundę w ramach GATT, urugwajską. Dalszej liberalizacji i rozwiązaniu kilku nowych problemów towarzyszyły jednak obietnice wobec krajów rozwijających się, które będą stanowić przytłaczającą większość w utworzonej Światowej Organizacji Handlu.

Jeszcze dużo szybciej niż handel rosty strumienie kapitału inwestowanego zagranicą, w czym miejsce krajów obszaru północnoatlantyckiego było przytłaczająco duże (jeszcze bardziej niż w strumieniach przewaga ta miała miejsce w zasobach bezpośrednich inwestycji zagranicznych).

Błędem jednak poważnym byłoby niedostrzeganie narastania w latach dziewięćdziesiątych również negatywnych zjawisk, szkodliwych dla stosunków między Stanami Zjednoczonymi a krajami europejskimi. Stopniowo, i raczej wolno, jednak malał udział w gospodarce światowej, w handlu, w strumieniach i zasobach inwestycyjnych, zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Europy Zachodniej. Równocześnie malało wzajemne znaczenie obu stron.

W szybko rosnących powiązaniach gospodarczych i finansowych ze światem zewnętrznym, zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i dla krajów Unii Europejskiej, coraz to więcej znaczyli inni. W przypadku Stanów Zjednoczonych dużo szybciej rosło gospodarcze znaczenie Dalekiego Wschodu, Azji Południowej, dostaw energii z Bliskiego i Środkowego Wschodu, wreszcie, choć tylko częściowo, sąsiadów z Ameryki Północnej, Kanady i Meksyku. Wśród dziesięciu krajów, do których Stany Zjednoczone najwięcej eksportowały w 2001 r., dopiero na miejscach czwartym i piątym znalazły się Wielka Brytania i Niemcy, wyprzedzone bardzo mocno przez Kanadę, Meksyk i Japonię, a po Korei Południowej, znalazły jeszcze miejsce Francja i Holandia.

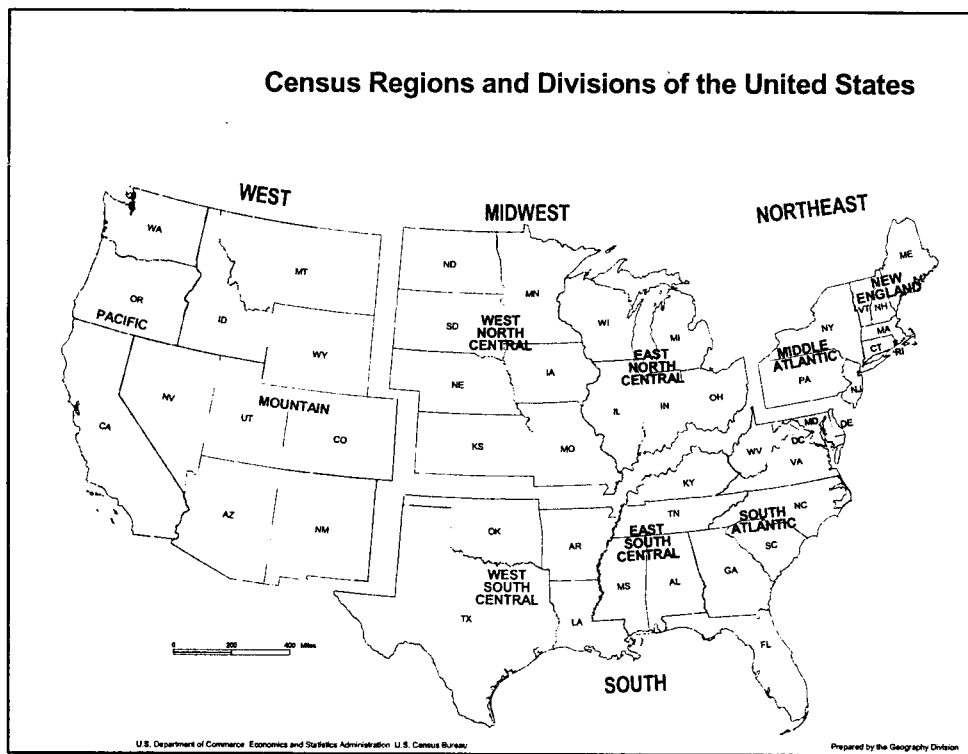
Jeszcze widoczniejszy jest względny spadek roli Europy jako dostawcy dóbr do Stanów Zjednoczonych; piąte Niemcy i szósta Wielka Brytania zostały wyprzedzone zdecydowanie przez Kanadę, Meksyk, Japonię i Chiny, zaś Francja i Włochy zajęły miejsca na samym końcu pierwszej dziesiątki³. Nieustannie, zyskując coraz to większe znaczenie, dokonywały się procesy przesunięć gospodarczych i ludnościowych wewnątrz Stanów Zjednoczonych, osłabiających rolę Wschodniego Wybrzeża (zob. mapa regionów).

Rozwijające się w masowej skali od połowy lat sześćdziesiątych procesy migracyjne zawierały jedynie śladowe grupki z Europy; napływali masowo imigranci z Ameryki Łacińskiej i Karaibów oraz z Azji. Co więcej, ci ostatni szybko wspinali się po szczeblach drabiny społecznego awansu, zmieniając skład elit politycznych, gospodarczych i kulturotwórczych. W sposób naturalny zmienił się sposób widzenia przez Stany Zjednoczone poszczególnych części świata.

³ *Ibidem*, no. Figure 28.2 i no. 1283.

Podobnie dzieje się i po drugiej stronie. Wprowadzie w handel zagranicznym krajów Unii ze światem zewnętrznym Stany Zjednoczone zachowują pierwsze miejsce, zwłaszcza jako rynek zbytu, lecz „mocarstwowość” Unii Europejskiej w handlu światowym odzwierciedla przede wszystkim handel między jej krajami członkowskimi⁴.

Udział regionów w produkcie USA 1900-1999*



⁴ "Europe in Figures" 2003, s. 137-140.

* Udział regionów w produkcie USA (dane w %):

	1900	1950	1990	1999
Północny Wschód	41	33	22,90	21,60
Środkowy Wschód	35	32	23,30	23,10
Południe	15	22	31,70	32,90
Zachód	8	15	22,90	23,29

Dość podobnie rysuje się struktura inwestycji bezpośrednich, w krajach i z krajów trzecich; Stany Zjednoczone pozostają najważniejsze wśród tych ostatnich, lecz warto zauważyć, iż w 2001 r. nastąpiło niemal przepołowienie strumienia FDI z krajów UE do Stanów Zjednoczonych, do 108 mld euro (choć udział pozostał wysoki, prawie 25% w 2000 r.), podczas gdy w odwrotnym kierunku nastąpił niewielki wzrost, do 82 mld euro (ponad 20% strumieni FDI wpływających do krajów UE)⁵.

Paradoksalnie, to co można uznać za zjawisko zasadniczo bardzo pozytywne, czyli dużo mniejsze prawdopodobieństwo niebezpiecznych konfliktów w Europie, w odróżnieniu zwłaszcza od rozległych obszarów Azji, od Bliskiego i Środkowego Wschodu aż po Północną Wschodnią Azję, powodowało dalsze zmniejszanie się uwagi, jaką w Stanach Zjednoczonych poświęcano w Europie.

W Europie Zachodniej nie stracono w ogóle zainteresowania bezpieczeństwem. Wprawdzie dopiero doświadczenia z Kosowem skłoniły do zmiany stanowiska Wielką Brytanię, co pozwoliło wreszcie na uczynienie zasadniczego kroku ku realizacji Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa oraz Europejskiej Tożsamości Bezpieczeństwa i Obrony, lecz o bezpieczeństwie nie zapomniano. Tyle tylko, iż zupełnie inaczej o nim myślano, niż w Stanach Zjednoczonych. Trafnie określił tę sytuację dotychczasowy Sekretarz Generalny NATO, lord Robertson, mówiąc o „dezagregacji zagrożenia bezpieczeństwa”. Bardzo odmiennie postrzegano zagrożenia, ich rozmiary i źródła.

Nawet w przypadku postrzegania tego samego bezpieczeństwa, zasadniczo i trwale większość polityków europejskich, a jeszcze bardziej opinia publiczna niemal we wszystkich krajach, już nie tylko Zachodniej Europy, wybiera odmiennie metody, traktując użycie bezpośredniej przemocy jako ostateczność, rozwiązywania danej kwestii (szczególnie plastycznie ujawni się to dopiero w kwestii Iraku).

Bodaj różne wreszcie treści są kojarzone z samym pojęciem bezpieczeństwa. Jeśli już w ogóle dałoby się przekonać podatników, ciągle gorliwie w Europie korzystających z „dywidendy pokoju”, do sięgnięcia głębiej do własnej kieszeni, to raczej należałoby motywować to potrzebami bezpieczeństwa wewnątrz niż zewnętrznego.

Wreszcie, zdecydowanie już w latach dziewięćdziesiątych należy widzieć początki procesu erozji tego, co zwykliśmy nazywać Zachodem, naturalnie myśląc o nim jako cywilizacji. Być może nadal ma rację Dominique Moïsi, choć napisał to pół roku przed wydarzeniami 11 września⁶. Ten wybitny francuski badacz stosunków międzynarodowych uznał, iż w erze post-zimnowojennej swoista beztroška pozwala na zwiększenie wagi przywiązywanej do kwestii mo-

⁵ *Fall in FDI in 2001: EU-15 as main actor*, "Theme" 2003, vol. 2, No. 12.

⁶ A sea-change in the transatlantic relationship The cold war-inspired partnership between the US and Europe, though often troubled, is as necessary now as ever, "Financial Times" 2001, February 11.

ralnych czy społecznych. Gdy nie zagrażają już wielkie niebezpieczeństwa, kwestie takie jak kara śmierci, aborcja, ochrona środowiska zyskują na znaczeniu.

Otóż nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż o jednolitości Zachodu w sferze wartości można obecnie mówić jedynie na poziomie najbardziej ogólnych sformułowań. Każde bliższe potraktowanie przyniesie ogromne zróżnicowanie. Wprawdzie to zróżnicowanie, samo w sobie, nie pozwala na kreślenie obrazu dwu, względnie spoiстых wewnętrznie społeczności, amerykańskiej i zachodnioeuropejskiej, lecz w obecnej debacie przeważa skłonność do przeciwstawiania sobie zbioru wartości rzekomo podzielanych przez przytłaczającą większość mieszkańców Stanów Zjednoczonych i zbioru wartości rzekomo podzielanych przez przytłaczającą większość mieszkańców Europy Zachodniej.

Są one fałszywe, choćby dlatego, iż łatwo można znaleźć grupy, zarówno w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej, które zgodnie będą potępiać „zepsucie” w nowoczesnych, czy raczej ponowoczesnych, metropoliach, lecz takie obrazy bywają, po obu stronach, na tyle poręczne, by je skwapliwie wykorzystywać w pełnej emocji dyskusji.

Na tym tle trzeba rozpatrywać zasadniczą debatę, jaka toczy się między Europą a Stanami Zjednoczonymi, lecz również i wewnątrz obecnego establishmentu amerykańskiego.

Nie będzie zbytnią przesadą stwierdzić, iż w Europie wzięto sobie mocno do serca wartości kiedyś głoszone w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza przez Woodrowa Wilsona. Rezultatem stała się daleko posunięta rezygnacja z suwerenności, wprowadzenie ponadnarodowej władzy i wspólne zaangażowanie na rzecz demokracji i praw człowieka, mocne preferowanie pokojowych środków rozwiązywania konfliktów i problemów.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych rozgorzał spór między nacjonalistami a neokonserwatystami. Trzeba przyznać rację Martinowi Wolfowi⁷, który zwraca uwagę na fałszywość określenia „neokonserwatyści”; w rzeczywistości są oni radykalnymi ideologami, zmierzającymi do zasadniczych przekształceń rzeczywistości międzynarodowej i wewnątrz arbitralnie wybranych przez siebie państw. Oba nurty zgodnie odrzucają jakiegokolwiek moralne i prawne ograniczenia suwerennej niezależności Stanów Zjednoczonych. Nie zgadzają się natomiast, jak głębokiej ingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw wymaga realizacja amerykańskich interesów.

Nacjonałści nacisk kładą na bezpośrednie zagrożenia, jak wspieranie przez państwo terroryzmu czy dążenie do zdobycia broni masowej zagłady. Neokonserwatyści chcieliby osadzić liberalną demokrację, gdyż, ich zdaniem, już jej brak rodzi zagrożenia. Upraszczając, nacjonałści są przeciwni Wilsonowi, zarówno co do środków, jak i celów, zaś liberalni imperialiści, udający neokonserwatystów, co do środków, lecz nie co do celów. Oba nurty odrzucają z lekceważeniem „świecką religię” współczesnych europejskich elit, wilsonowskich co do środków i celów.

⁷ M. Wolf, *The transatlantic alliance is in trouble*, "Financial Times" 2003, May 20.

Tak patrząc, jestem głęboko przekonany, iż wydarzenia ostatnich trzydziestu miesięcy w stosunkach transatlantyckich mają przyczyny dużo głębsze niż cechy charakteru polityków, którzy znaleźli się u steru rządów na początku XXI w., i ich konkretne zachowania. Wręcz byłbym zdania, iż to bardziej w latach dziewięćdziesiątych należy dostrzec swoistą anomalię, wynikającą z różnych przyczyn, z których jedną z najważniejszych była osobowość ówczesnego prezydenta i jego najbliższych współpracowników.

Głęboko tkwiące przyczyny dały o sobie zawiadką znać, gdy tylko u władzy znalazła się w Waszyngtonie zupełnie odmienna grupa ludzi. Chcąc uniknąć nieporozumień, jeśli obwiniam obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego najbliższych współpracowników, zwłaszcza Sekretarza Obrony, Donalda Rumsfelda, o wiele wypowiedzi nieprzemyślanych i zupełnie niepotrzebnie zaogniających spory z mocarstwami Europy Zachodniej, to wcale nie znaczy to, iż podobnie ciężkie przewinienia nie ciążyą na przywódcach Francji czy Niemiec. Niezależnie od różnic w kwestiach merytorycznych, obie strony doprowadziły wręcz do wojny na słowa i gesty, mające wzajemnie ranić i upokarzać. Od odpowiedzialności za skutki takiej retoryki, z zapalem uprawianej zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie Zachodniej, nie należy nikogo uwolnić.

Nie pocieszałbym się, jak uczynił to dziennikarz „Gazety Wyborczej”⁸, wskazując na możliwości manipulacji przy sondażu zachodnioeuropejskiej opinii publicznej, którego wyniki winny szokować, lecz nie dziwić. Otóż ankietowani w 15 krajach Unii Europejskiej, pytani o kraje zagrażające pokojowi na świecie, na pierwszym miejscu wymieniali Izrael (59%), a na kolejnych Iran, Koreę Północną i Stany Zjednoczone (53%). Nie można też pocieszać się w sposób, do którego uciekają się niektórzy obrońcy Stanów Zjednoczonych, wyjaśniając rosnącą niechęć zwykłą zawiścią. Sądzę, iż więcej słowa krytyki są powodowane tym, co Stany Zjednoczone obecnie robią, niż tym, czym one współcześnie są.

Nawet i w tym momencie można jednak powiedzieć, iż w ciągu tych omawianych trzydziestu miesięcy to, co złego działo się w stosunkach transatlantyckich, to głównie retoryka. W praktyce, w konkretnych działaniach, raczej trudno byłoby znaleźć przykłady działań wyraźnie nieprzyjaznych. Z drugiej strony, obraz ewolucji wzajemnych stosunków wyraźnie się pogorszy, jeśli wprowadzimy czynnik czasu. Ujmując najkrócej, chodzi o roztrwonienie, znowu powtórzę, wcale nie przez jedną tylko stronę, tego ogromnego, rzeczywistego kapitału politycznego, jakim cieszyły się Stany Zjednoczone po wydarzeniach 11 września, jeśli nie wszędzie, to z całą pewnością w Europie Zachodniej. Przy czym i w bardzo konkretnych, z konkretnymi kosztami, działaniach politycznych, ostro rysuje się różnica między wojną w Afganistanie i wojną w Iraku.

Pozostając w sferze bezpośrednio zależnej od działań polityków, obawiam się, iż – wśród wielostronnych instytucji i organizacji międzynarodowych –

⁸ J. Pawlicki, *Przewidywalny jak eurobarometr*, „Gazeta Wyborcza” 2003, 4 listopada.

do najważniejszych „ofiar” należy Sojusz Północnoatlantycki. Przypomnę, iż jego organizacja znalazła się już w bardzo trudnej sytuacji, gdy utracił on podstawową rację istnienia wraz z końcem świata dwubiegunowego, po rozpadzie Związku Radzieckiego, a nieco wcześniej, jego imperium zewnętrzne. Ewolucja w latach dziewięćdziesiątych stwarzała szanse na znalezienie nowych celów i funkcji.

Lekkomyślne odrzucenie wyraźnej oferty, gdy po raz pierwszy, po wydaniu 11 września 2001 r., przywołano Artykuł V Traktatu Waszyngtońskiego, by bez żadnych ograniczeń tworzyć doraźne sojusze, „sojusze chcących”, stanowiło krok wstecz. Bardzo realna jest groźba stawania się NATO klubem dyskusji politycznych w coraz liczniejszym gronie, posiadającym jeszcze „skrzynkę z narzędziami” dla, bliżej nieokreślonych, działań militarnych.

Można też sądzić, iż najważniejsza też będzie dla stosunków transatlantycznych właśnie przyszłość Sojuszu Północnoatlantyckiego. Zdaniem jednego z czołowych badaczy niemieckich, Holgera Meya, prezydenta Instytutu Analiz Strategicznych w Bonn, obecnie NATO staje się potrzebne, by zachować zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w sprawy bezpieczeństwa Europy, zapewnić, by Europa była silnym partnerem dla Rosji i utrzymać Niemcy jako integralną część Zachodu, zapobiegając w taki sposób budowaniu przez sąsiadów i partnerów Niemiec koalicji dla przeciwważenia potęgi Niemiec. To wyraźne nawiązanie do znanej formuły sprzed dziesięcioleci: *to keep Americans in, Russians out and Germans down*. Rzeczywiście, warto zwrócić uwagę, że gdyby Niemcy zastosowali w praktyce obecnie głoszone koncepcje amerykańskie, przepadłaby stabilność w Europie.

Interesujące są w tej mierze rozważania Ronalda D. Asmusa⁹, który już raz, wspólnie z innymi, wystąpił w roli skutecznego „lekarza”¹⁰. Nie mając żadnych wątpliwości co do odpowiedzialności obu stron, i kładąc nacisk na nieudolność polityczną i dyplomatyczną, podkreśla konieczność i możliwość znalezienia nowego wspólnego celu strategicznego, opartego na uzgodnieniu głównych wyzwań strategicznych.

Zdaniem autora, za takie należałoby uznać nowy program „wschodni” i dalszą konsolidację wspólnoty euroatlantyckiej. Otóż zgadzając się, iż rzeczywiście najważniejsze jest uzgodnienie wspólnego celu, i z najwyższą uwagą zapoznając się z bardzo szczegółowo wyłożonymi konkretnymi punktami programu, trudno jest mi dostrzec, by większość z nich była do przyjęcia po obu stronach Atlantyku, inaczej niż tylko na poziomie ogólników.

Wiele zresztą też Asmusa brzmi przekonująco dla niezaangażowanych bezpośrednio w spór obserwatorów, lecz, obawiam się, sprawy zaszły zbyt daleko, emocje górują nad umysłami protagonistów i, co gorsza, szerokiej opinii publicznej. Być może, pozostaje jedynie szansa pragmatycznej, ograniczonej do wybranych kwestii, współpracy.

⁹ *Rebuilding the Atlantic Alliance*, “Foreign Affairs” 2003, September/October.

¹⁰ Wraz z Richardem L. Kuglerem i F. Stephenem Larrabee, *Building a New NATO*, “Foreign Affairs” 1993, September/October.

Dużo mniej podatne na bodźce polityczne są stosunki gospodarcze i finansowe. Siła bezwładny, która je charakteryzuje i, w konsekwencji, bardzo wolne tempo zmian nie pozwalają, po upływie nieco ponad 30 miesięcy, na wyciąganiu już jakichś dalej idących uogólnień. Zmalały strumienie kapitału zagranicznego inwestowanego w Stanach Zjednoczonych, a ponieważ przytłaczająca jego część pochodziła z Europy, z wielkim prawdopodobieństwem można powiedzieć, że zmniejszyła się i dla inwestorów europejskich atrakcyjność gospodarki amerykańskiej jako miejsca lokowania kapitału.

Wiadomo też, iż nastąpiło silne przesunięcie strukturalne w popycie na kapitał w samych Stanach Zjednoczonych; ponownie silnym biorcą stał się skarb federalny, kosztem sektora prywatnego. Wiadomo też, iż masowymi nabywcami obligacji skarbu federalnego stały się głównie ChRL i Japonia, wykorzystując przychody z potężnych nadwyżek w handlu ze Stanami Zjednoczonymi. Lecz naprawdę dopiero za kilka lat będziemy w stanie nakreślić pełniej obraz zmian w stosunkach kapitałowych między Stanami Zjednoczonymi a światem zewnętrznym, jakie zachodzą w pierwszych latach XXI w.

Niewątpliwie sprawą szczególnie ważną jest przewyżczenie trudności, jakie pojawiły się w trakcie pierwszej rundy negocjacyjnej Światowej Organizacji Handlu, zwłaszcza znalezienie jakiegoś wyjścia z bardzo kłopotliwej sytuacji po fiasku spotkania w Cancun. Nie można też wykluczyć, i to już wkrótce, wręcz „wojny handlowej” między Stanami Zjednoczonymi, a państwami Unii Europejskiej.

Niezależnie od niektórych pomyślnych sygnałów o gospodarce amerykańskiej (zdaniem niektórych komentatorów, wysoki wzrost PKB w III kwartale stanowi odpowiedź na jednorazowe przyczyny), w sytuacji tak silnego uzależnienia, zarówno przedsiębiorstw, jak i władz federalnych w sytuacji gwałtownie rosnącego deficytu budżetu od kapitału napływającego z zagranicy, jednym z najpoważniejszych pytań jest pytanie o zachowania inwestorów zachodnioeuropejskich. Pośrednim źródłem informacji, poprzez tworzony przez strumienie kapitału popyt na daną walutę, jest kurs wzajemny dolara i euro. Tendencja taka jest w ostatnich latach bardzo wyraźna.

Można oczekiwać, iż jeśli uda się przewyżczyć skutki wynikające z doraźnych napięć, nastąpi poprawa atmosfery we wzajemnych stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Wydaje się jednak, iż oddalanie się od siebie będzie nadal miało miejsce i wraz z tym będzie maleć wzajemne dla siebie znaczenie obu części świata. Tym niemniej wzajemne zrozumienie będzie konieczne dla obu i nadal dla całego świata. Nadal bowiem nie istnieje żadna inna para dwu regionów, które byłyby bardziej zintegrowane niż pozostają, mimo wszystko, Stany Zjednoczone (wraz z Kanadą) i Europa, i nadal nikt inny, poza nimi, w dającej się przewidywać przyszłości, nie jest w stanie skutecznie przekształcać zinstytucjonalizowany światowy system polityczny i militarny.

Wprawdzie szanse powodzenia w naprawianiu stosunków transatlantycznych i wykorzystaniu wspólnych wysiłków dla dobra całego świata zmalały znacznie, lecz warto takie próby podejmować. Żadnego lepszego innego rozwiązania dostrzec nie można.